

Ks. ppłk rez. Alojzy DUDEK

**MOJE PRZEŻYCIA NA SZLAKU BOJOWYM OD SIELC DO
BERLINA**

Moją służbę kapelańską w Wojsku Polskim rozpocząłem w Sielcach n.Oką w Związku Radzieckim w styczniu 1944 roku, kiedy to tworzyła się 3 Dywizja Piechoty im. Romualda Traugutta, której zostałem kapelanem.

Oddziały 3 Dywizji Piechoty tworzyły się przeważnie z naszych tułaczy, których zawierucha wojenna rozproszyła po całym Związku Radzieckim. Przybyli z daleka: z północy spod Archangielska, słonecznej Odessy, ze stepów Kazachstanu — i dalej jeszcze. Ale również rekrutowali się z byłych żołnierzy niemieckich — Wehrmachtu — którzy przymusowo zostali wcieleni do wojska niemieckiego. Byli to przeważnie Ślązacy, Poznaniacy, Pomorzanie oraz z innych terenów Polski przyłączonych do Rzeszy. Ale wszyscy ci żołnierze byli przecież Polakami.

Dowódcą utworzonej 3 Dywizji Piechoty był generał Stanisław Galicki (przybyły z wojska radzieckiego).

Zaraz po objęciu stanowiska w dywizji zacząłem swoją pracę duszpasterską. Jednostki wojskowe naszej dywizji były porozrzucane po lasach — oddalone od siebie po parę kilometrów, musiałem więc do nich dojeżdżać, nie miałem jednak żadnego środka lokomocji. Ze względu na to, że była to zima — styczeń — przydzielono mi konia i sanie oraz żołnierza pomocnika, -który miał pełnić służbę przy ks. kapelanie, wozić go do poszczególnych jednostek wojskowych z posługą religijną i opiekować się ponadto koniem.

Niestety — ani razu nie mogłem pojechać przydzielonym mi wozem, albowiem koń był jakiś dziki — pewno stepowy — nie wdrożony do zaprzęgu. Co krok stawał dęba, rzucał się, zachodziła obawa, że w każdej chwili wylecę z sań. Toteż zaraz po pierwszej próbie oddałem go z powrotem. Po owym nieszczęsnym dzikim koniu przydzielono mi samochód, najpierw gaz —• rosyjski, a potem otrzymałem samochód amerykański marki Ford, równocześnie przydzielono mi szofera, doświadczonego kierowcę, żołnierza, który już przed wojną jeździł autobusami na szosach wileńskich*. Nazywał się Nikodem Garbiński. Tym fordem przebyłem całą wojnę z Sielc n.Oką aż do Berlina i jeszcze dalej — poza Berlin.

W Sielcach odprawiałem w każdą niedzielę trzy Msze św. dla różnych pułków niejednokrotnie bardzo od siebie oddalonych.

Msze św. odprawiałem w zimie w lesie, na polu, na śniegu, pod gołym niebem, w mrozie. Ale pomimo tych trudnych warunków wojsko garnęło się chętnie na nabożeństwa, a jak pobożnie uczestniczyli żołnierze we Mszy św., jak żarliwie śpiewali pieśni religijne, jak się spowiadali! Niektórzy z nich przecież już parę lat nie mieli okazji odbycia spowiedzi i przyjęcia Komunii św.

Msze ś'w. niedzielne rozkładałem sobie w ten sposób, że w jedną niedzielę odprawiałem dla pułków 7, 8 i 9, w drugą natomiast dla sztabu, PAL-u i san-batu (Sanitarnego Batalionu).

Innym znów razem chodziłem z nabożeństwem do szpitala polowego, oddalonego o jakieś 4 km od sztabu.

Pewnego dnia, a było to w lutym .1944 .roku, pułk lotniczy zapragnął, aby ksiądz kapelan przybył do nich ze Mszą św. i spowiedzią. Ale jak się do nich dostać? — myślałem. Przecież pułk lotniczy był oddalony od sztabu o ponad 30 km! Sami poradzili. Przyjechali po prostu, a raczej przylecieli po mnie samolotem. Był to pewnie kukuruźnik, bo leciał bardzo nisko nad ziemią. A że to była zima i samolot otwarty, więc zmarzłem co niemiara. Dolecieliśmy szczęśliwie. Odprawiłem Mszę ŚW., wyspowiadałem chętnych, udzieliłem Komunii św.

Lotnicy z wdzięczności ugościli mnie .serdecznie, przenocowali, a następnego dnia odwieźli z powrotem do Sielc tym samym samolotem.

W tym czasie dowiedziałem się, że w szpitalu w Riazaniu leżą polscy żołnierze. Jak ich nie odwiedzić. Wsiadam do pociągu i jadę do Riazania. Piękne, duże miasto, odszukałem szpital, a w nim polskich żołnierzy i polskie dziewczęta w mundurach. Wyspowiadałem ich, udzieliłem Komunii św., komunikanty stale nosiłem ze sobą, pogawędziłem,

podniosłem na duchu — i wróciłem do siebie, do Sielc.

Muszę wspomnieć o jednym jeszcze przeżyciu, które spotkało mnie w Sielcach w lutym 1944 roku. Otóż w tymże miesiącu odbył się w Moskwie Słowiański Zjazd Działaczy Politycznych i Wojskowych — Polaków, Czechów i Jugosłowian. Zjazd trwał cały tydzień. Spotkałem tam Wandę Wasilewską, Andrzeja Witosa, generała Berlinga. Byli też obecni dwaj księża kapelani: ks. płk Kubsz i kapelan 3 Dywizji Piechoty — czyli ja.

W Sielcach odwiedzałem bardzo często Batalion Sanitarny, którego dowódcą był lekarz mjr Gasperowicz. Bywałem też często w szpitalu polowym, który jak już poprzednio wspomniałem, był oddalony od Sielc 4 km. W tych jednostkach odprawiałem dla chorych Mszę św., urządzałem spowiedź św., rozdzielałem Komunię św., a ciężko chorym udzielałem wiatyku i ostatniego namaszczenia.

Muszę przyznać, władze wojskowe szły mi w tej pracy bardzo na rękę i ułatwiały ją. W szczególniejszy sposób pomagał mi w pracy przy organizowaniu nabożeństw i w śpiewie podczas Mszy św. mój współpracownik — kapral Józef Podkowik, z zawodu nauczyciel, któremu duszpasterstwo 3 Dywizji Piechoty dużo zawdzięcza. Pracował przy „kaplicy dywizyjnej” aż do końca wojny.

Muszę tu wspomnieć jeszcze o jednym współpracowniku przy kaplicy dywizyjnej, który pomagał mi bardzo ofiarnie przy nabożeństwach, a mianowicie o chorążym Józefie Grochalskim. Był jeszcze klerykiem, gdy został przydzielony do 3 Dywizji Piechoty im. Romualda Traugutta jako pomocnik księdza kapelana. Do Wojska Polskiego przybył z Dalekiego Wschodu, dokąd go losy wojenne rzuciły. Został najpierw dowódcą

plutonu artylerii przeciwpancernej. Generał Stanisław Galicki — ówczesny dowódca 3 Dywizji Piechoty — przydzielił go na prośbę kapelana do naszej „kaplicy dywizyjnej”.

Odtąd chorąży Grochalski towarzyszył mi stałe w moich wyjazdach duszpasterskich i służbowych. Opiekował się ołtarzem polowym, przyborami liturgicznymi itp. Chodził za mną do chorych do szpitala polowego i san-batu przygotowywał rannych na przyjęcie sakramentów św.

Niestety po 4 miesiącach pobytu w 3 Dywizji Piechoty chorąży Józef Grochalski został przeniesiony jako sekretarz do księdza kapelana 2 Dywizji Piechoty, którym był kpt. Antoni Łopaeiński.

Z zalem go żegnaliśmy, bo przez te 4 miesiące żyliśmy się bardzo serdecznie. Dziś ówczesny chorąży J. Grochalski jest już 37 lat kapłanem w Towarzystwie Jezusowym i majorem rez., a pracuje obecnie w Gliwicach w kościele oo. jezuitó* w.

Pobyt nasz w Sielcach, który trwał przez styczeń, luty i marzec, dobiegał końca. Oto dywizja otrzymuje rozkaz załadowania się na wagony — zbliża się czas wyjazdu na front.

10 kwietnia — w drugie święto wielkanocne, rozpoczęło się ładowanie. Przepławiamy się przez rzekę po łodzi, bo nie ma mostów, i tak dostajemy się na drugi brzeg i załadowujemy sprzęt wojenny.

Jest piękna pogoda. Ruszamy.

Odprawiałem codziennie Mszę św. w . wagonie przy licznych udziale żołnierzy. Jedziemy przez Białgorod, mamy tu 3 dni (postoj). Zwiedzamy miasto oraz cerkiew prawosławną. Trafiłem akurat na prawosławne święta wielkanocne. W cerkwi pełno ludzi, przepiękne śpiewy, dużo palących się świec.

„Batuszka” przy ołtarzu odprawia nabożeństwo. Gdy się dowiedział, że polski ksiądz, kapelan wojskowy, jest w cerkwi, przyszedł od ołtarza i publicznie na oczach wszystkich wiernych przywitał mnie.

Dziś — kiedy po tylu latach myślę o tym wydarzeniu — zdaje mi się, że już wtedy ów prawosławny „batuszka”[>] zapoczątkował dialog ekumeniczny, którego dzisiaj jesteśmy świadkami.

W Białgorodzie mieliśmy więcej czasu, toteż odprawiłem Mszę św. dla całej dywizji w starej cegielni, która stała niedaleko naszych wagonów. Obszerna, pusta cegielnia mogła pomieścić setki ludzi. W mig zrobiono prowizoryczny ołtarz, nakryto obrusem stół — 2 świece, krzyż i oto ołtarz połowy gotowy do bezkrwawej ofiary. Schodzą się żołnierze na Mszę św.

Zanim jeszcze rozpocząłem Mszę św., przychodzi do cegielni stara babcia, katoliczka, mówiąca dobrze po polsku. Otóż dowiedziała się, że ksiądz kapelan, kapłan katolicki, będzie odprawiał Mszę Sw., więc przyszła, bo już dawno nie miała okazji, aby jej wysłuchać.

Przed Mszą św. prosiła o spowiedź św. Podczas Mszy św. przystępuje ze łzami w oczach do Komunii św. — Może ta Komunia święta będzie ostatnią w jej życiu — będzie wiatykiem na godzinę jej śmierci. Rozpoczyna się Msza św. — nie w bazylice, katedrze czy nawet kościele, lecz w starej cegielni. Jak pięknie i rze'wnie śpiewali żołnierze „Serdeczna Matko”, „Po górach, dolinach”, „Cześć Maryi, cześć i chwała”, „Pod Twą obronę”!

Jedziemy dalej, ale znów mamy postój. Tym razem cały tydzień w Charkowie, gdyż pierwszeństwo mają jadące na front pociągi z amunicją. Zwiedzamy miasto, które jest mocno zbite. Idziemy do kina, po drodze

mijamy pomnik ^poety ukraińskiego T. Szewczenki. Mszę św. odprawiam w wagonie, żołnierze stoją na peronie uczestnicząc we Mszy św. i śpiewając pieśni maryjne. Po tygodniowej przerwie w Charkowie ruszamy znowu w dalszą drogę. W drodze przeżywamy alarm lotniczy. Bardzo wysoko nad naszymi głowami warczą samoloty niemieckie. Na szczęście nie bombardują — lecą dalej. Alarm odwołany, możemy jechać. Droga prowadzi przez Kijów — Połtawę — coraz bliżej celu.

Podczas postoju na jednej małej stacyjce odbyła się niecodzienna uroczystość — mianowicie udzieliłem ślubu małżeńskiego por. Edwardowi Mroczkowskiemu i sierż. Wandzie Kochanowskiej. Oboje razem pracowali w naszym teatrze dywizyjnym — tutaj się poznali, pokochali i pobrali. Skromne żołnierskie przyjęcie ślubne zakończyło tę niezwykłą uroczystość.

8 maja 1944 roku stajemy nareszcie po miesięcznej podróży w Kiwercach k.Łucka na Wołyniu. Pozostaniemy tutaj przez całe 2 miesiące do 16 lipca. Jednostki wojskowe rozlokowują się w różnych punktach w lasach wołyńskich.

Sztab wojskowy i kaplica dywizyjna ulokowały¹: się w małej wiosce Przebraże. wśród lasów wołyńskich. Był maj, żołnierze na oczekaniu zbudowali w lesie skromną kapliczkę, gdzie codziennie przez cały miesiąc odbywały się nabożeństwa majowe. Przychodzili na nie żołnierze i to dość licznie, a nawet ludność cywilna, która w tej wiosce mieszkała. Gdy przyjechaliśmy do pobliskiego Łucka — stolicy Wołynia — młodzież wręczała nam obrazki religijne z chorągiewką biało-czerwoną i napisem: „Niech Cię Bóg prowadzi do zwycięstwa”.

Dziewczęta zgłaszały się chętnie do wojska, zwłaszcza do Batalionu

Sanitarnego, pośredniczyłem nieraz w ich przyjęciu do służby sanitarnej.

W Przebrażu odbyła się wspaniała uroczystość — poświęcenie sztandaru 3 Dywizji Piechoty. Cała dywizja zebrała się na obszernej polanie — generalicja, oficerowie, żołnierze, zaproszeni goście, aby wziąć udział w tej niezwykłej uroczystości. Poświęcenia sztandaru dokonał ksiądz kanonik kapituły katedralnej — Adiołf Kukuruziński w asyście księdza kapelana dywizyjnego. Swoje piękne przemówienie zakończył ksiądz kanonik słowami: Nieście ten sztandar wysoko, niech jego honoru nie zabrudzi żadna plama, chyba plama krwi, przelana w obronie tego sztandaru i wolności. Niech on was prowadzi do zwycięstwa”... Po poświęceniu odbyła się defilada, a potem obiad galowy dla całej dywizji i zaproszonych gości.

Przez te 2 miesiące postoju w Przebrażu i w okolicznych lasach, gdzie były rozlokowane nasze jednostki wojskowe, była czynna „kaplica dywizyjna”. W pułkach odbywała się spowiedź św. batalionami, połączona z Mszą św. i Komunią św. Żołnierze spowiadali się chętnie i przystępowali do sakramentów św. Siedziałem godzinami na pniaku drzewa i spopytanie — patrzę — już nie żyje. Dobry Bóg pozwolił mu doczekać jeszcze kapłana.

Innym znów razem przychodzi do mnie pewien **gospodarz znad** samej Pilicy i prosi, **by jechać z nim do ciężko chorej kobiety — bo woła o księdza. Zaznacza jednak, że droga jest niebezpieczna, bo jest pod obstrzałem Niemców. Nie ma rady, trzeba jechać** — pojechałem.

Niedługo potem nasi dzielni zwiadowcy przyprowadzili kilku Niemców — żołnierzy oraz ich dowódcę kapitana, których po prostu zagarnęli z pierwszej linii frontu. Było to potrzebne dla naszego sztabu, aby

zasięgnąć „języka” co do sił Niemców. Kapitan niemiecki był ciężko ranny w brzuch i pomimo natychmiastowej operacji zmarł. Inni żołnierze byli lżej ranni i tych, którzy wyrazili życzenie i byli katolikami — wyspowiadałem.

Któregoś dnia jakiś człowiek przyniósł mi puszkę pełną komunikantów; było w niej pełno piachu i okruszyn cegły. Znalazł ją w rozbitym kościele w Magnuszewie, a więc komunikanty konsekrowane, ale nie do użycia. Rozpuściłem je więc w wodzie, a puszkę zwróciłem właściwemu kościołowi.

Po miesięcznym pobycie nad Pilicą zluzowała nas dywizja radziecka, a my ruszyliśmy w stronę Warszawy — na pomoc powstańcom. Zatrzymuję się w Aninie pod Warszawą. Znajduje się tu szpital polowy, przywożą doń' wszystkich rannych żołnierzy. Rannych pełne namioty — ręce mi opadają. Chyba nie zdołam przyjść wszystkim z pomocą. Proszę innych księży kapelanów o pomoc. Przy ich udziale opanowałem sytuację.

Dywizja nasza forsuje Wisłę, aby przyjść z pomocą walczącym dzielnie po drugiej stronie powstańcom. Podczas przeprawy przez Wisłę giną dwaj odważni żołnierze zwiadowcy. Obaj pochodzą ze Śląska — kpt. Bielas z Imielenia pow. Tychy i kpr. Kotas z Lipin k. Chorzowa.

Po upadku Powstania Warszawskiego jednostki naszej dywizji rozmieszczone zostały w Rembertowie, Zielonce, Zaciszu .oraz w innych podwarszawskich miejscowościach. W Rembertowie stoimy do stycznia 1945 roku. Odprawiam nabożeństwa dla wojska w kościele garnizonowym w Rembertowie oraz wyjeżdżam do pułków. Razu pewnego wzywają mnie do chorego żołnierza, a ponieważ właśnie w tym czasie nie miałem własnego pojazdu, żołnierze dają mi wierzchowca, i tak jak

prawdziwy kawalerzysta jadę z Panem Jezusem do chorego. Po załatwieniu świętych czynności znów w ten sam sposób wracam do jednostki.

W czasie postoju w Rembertowie zdarzył się tragiczny wypadek. Oto nasza 19-letnia telefonistka Janina Szerszeń, pracująca przy telefonach w jednostce „łączność”, idąc drogą z koleżankami kopnęła nogą pocisk leżący na ziemi. Pocisk naturalnie eksplodował i ciężko ją ranił. Dwa dni leżała nieprzytomna. Na trzeci dzień umiera. Zdążyłem ją tylko namaścić. Pochowana została na cmentarzu w Rembertowie. Nie wróciła do swoich rodziców i rodzeństwa, którzy na pewno oczekiwali jej powrotu. Koleżanki, które jej towarzyszyły, wyszły bez szwanku — jedna z nich została tylko ranna w nogę.

Styczeń 1945 rok — dokładnie 12 stycznia opuszczamy Rembertów. W dniu tym front niemiecki został przełamany pod Baranowem k. Sandomierza. Niemcy cofają się w popłochu. Opuszczają również Warszawę.

Wkraczamy do umęczonej stolicy, ale od strony Góry Kalwarii i Grójca, bo na Wiśle wszystkie mosty zostały zniszczone. Warszawa jest cała w ruinach. Okropny widok martwego miasta. Zatrzymujemy się tylko na dwa dni, musimy ruszać dalej, bo przecież wojna jeszcze nie skończona. Jedziemy przez Błonie w kierunku Sochaczewa. Jak jednak przepawić się na drugą stronę, kiedy most na rzece Bzurze także zerwany. Jedziemy naszym fordem przez pokrywą lodową. Ryzykujemy — może lód wytrzyma — udało się. Lód dosyć gruby, nie wytrzymał jednak ciężaru czołgu, który również w ten sposób chciał się przepawić na drugą stronę. Lód załamał się i czołg pozostał w rzece.

W Sochaczewie ludzie witają nas serdecznie, proszą na obiad do

swoich domów, ale odmawiamy, bo nie ma czasu. Musimy stale dążyć 'naprzód — coraz dalej i dalej. Mijamy Płock, Włocławek, Toruń i wjeżdżamy do Bydgoszczy. Tutaj gościmy trzy dni. Słysząc jeszcze strzały w mieście, widać, że resztki Niemców — niedobitków próbują gdzieś na peryferiach miasta stawiać opór, ale daremnie.

Po trzech dniach postoju w Bydgoszczy ruszamy w dalszą drogę. Jedziemy przez Sępólno. Jest wieczór. Nocujemy na probostwie u księdza proboszcza, który też serdecznie nas ugościł. Rano znów dalej mijając miejscowości: Królewska Wieś, Radawnicę, Jastrowie, Sypniewo, W wiosce Królewska Wieś nie ma żywej duszy. Wszyscy Niemcy pouciekali, pozostawiając cały żywy inwentarz. Widzieliśmy w stajniach dziesiątki zdechłych krów przywiązanych do żłobów, które Niemcy w pośpiechu zapomnieli spuścić z łańcucha, i tak bez wody i pożywienia poginęły biedne zwierzęta. Te, które jeszcze żyły, kierowca mój puszczal z łańcuchów, dając im wody do picia, a następnie wypędził do ogrodu.

Jakiś czas zatrzymujemy się w Sypniewie. Odprawiam Mszę św. w kościele, bo na miejscu jest kościół katolicki. Zastaję też miejscowego księdza — Niemca, który nie uszedł, bo jest ciężko chory. Dobrze nas przyjmuje.

W nocy następuje alarm — otóż Niemcy przedzierają się w naszym kierunku. Wszyscy jesteśmy gotowi, ale po kilku godzinach alarm został odwołany.. Niemcy widocznie zrezygnowali z dalszego przedzierania się lub zostali odparci. Jedziemy do Mirosławca. Nasz sędzia dywizyjny kpt. Kozłowski zostaje ranny w nogę. Droga, którą jechał samochodem, była pod ostrzałem Niemców. Zostaje natychmiast odwieziony do szpitala

polowego. Już go nigdy więcej nie spotkałem w naszej dywizji.

Podczas postoju w Sypniewie miałem okazję zwiedzić oflag, obóz polskich oficerów — jeńców wojennych, który znajdował się niedaleko Sypniewa w Gross-Born. W czasie naszego pobytu był już zupełnie pusty. Ile tam jeszcze pozostało sprzętu — meble, walizy itp. Można to było wszystko wywozić samochodami ciężarowymi, ale kto miał na to czas. Ocalała nawet kaplica obozowa, a w niej sprzęt liturgiczny: ornaty, mszały, monstrancja, fisharmonia. Widać kwitło tu życie religijne, wszak byli tam przecież polscy oficerowie, a z nimi również księża kapelani wojskowi.

Po kilku dniach ruszamy dalej. Jedziemy do Szczecinka. Tutaj ginie kpt. Jekimionek, dowódca 3 batalionu 7 pułku piechoty 3 DP, dobry oficer i dobry człowiek. Trafiła go kula niemieckiego snajpera w samą głowę. Urządzamy mu pogrzeb i jeszcze kilku poległym żołnierzom, ale i podczas pogrzebu nie mamy spokoju. Artyleria niemiecka bije w nasze miejsce. Musimy przerwać ceremonie pogrzebowe i chować się. Dopiero po uciszeniu się artylerii dokończyliśmy grzebani naszych kolegów.

Dalsza nasza droga to Czaplinek, Połczyn Zdrój i wreszcie Kołobrzeg. Tutaj walka idzie o każdy dom. Miasto się pali. Niemcy bronią się zaciekle. Jestem na posterunku w Sanitarnym Batalionie, który mieści się tuż pod Kołobrzegiem 'w 'wiosce Charzynno.

Samochody i ambulanse przywożą bez przerwy rannych. Lekarzom opadają ręce od pracy, operują we dnie i w nocy. Pomagają im dzielne siostry sanitariuszki, ślaniające się od bezsenności. A wśród nich snuje się bez przerwy sylwetka księdza kapelana, który zaopatruje konających żołnierzy na drogę wieczności. Nieraz namaszczałem olejami św. ciepłe

jeszcze zwłoki, błagając o miłosierdzie dla opuszczającej ciało duszy. Tych, co polegli na froncie lub umarli w szpitalu, grzebałem nieraz razem we wspólnej mogile.

Kiedy nareszcie Kołobrzeg został zdobyty, odbyła się uroczysta Msza św. w porcie kołobrzesckim — była to Msza św. prawdziwie dziękczynna.

Teraz następuje krótki zasłużony odpoczynek. Trwał jednak niedługo, wojna przecież toczyła się dalej, a zatem trzeba iść naprzód.

Posuwamy się na Berlin. Dywizja forsuje Odrę, staczając ciężkie boje, gdyż Niemcy bronili się twardo, nie chcąc dopuścić do przekroczenia rzeki. Daremny jednak ich trud. Odra zostaje sforsowana — posuwamy się naprzód. Jedziemy przez uwolniony Oranienburg, gdzie mieścił się „sławny” obóz koncentracyjny, w którym zginęło tyle tysięcy ludzi — nie tylko Polaków, ale i innych narodowości. Teraz obóz jest pusty, ale za to setki i tysiące zgłodniałych więźniów wyległo na drogi, prosząc o chleb, o coś do zjedzenia. Wracają do domu w pasiakach lub cywilnych ubraniach. Idą pieszo lub jadą napotkanymi samochodami. Dzielimy się chlebem ze zgłodniałymi, ale przecież wszystkich nie nakarmimy, bo i nasze zapasy żywnościowe są ograniczone.

Z dnia na dzień posuwamy się coraz bliżej Berlina. Mijamy miasteczko Schwandte, gdzie 3 maja odprawiam Mszę św. do Królowej Polski. Odprawiam ją w bramie wjazdowej, gdyż Niemcy krążą ciągle nad naszymi głowami i raz po raz bombardują.

Podczas jednego takiego niemieckiego nalotu, właśnie tutaj w Schwandte, padła bomba w miejsce, gdzie miał swoją kwaterę dowódca naszej dywizji, gen. Stanisław Zajkowski (przyszedł po gen. Galickim — również z Armii Radzieckiej). Generała zraniła lekko w twarz, a ciężkie

obrażenia odniosła szeregowiec Wiesia, która prowadziła kuchnię generała. W następstwie odniesionych ran zmarła. Jeszcze przed śmiercią zaopatrzyłem ją na drogę wieczności i następnie pochowałem.

W naszym szpitalu dywizyjnym są liczni ranni. Odwiedzam ich często, spowiadam i udzielam Komunii św.

W początkach maja znalazłem się w Berlinie. Miasto pali się. Słychać jeszcze strzały. Wokół ogromne zniszczenie. Poruszanie się po mieście jest bardzo niebezpieczne, gdyż wszędzie tkwią jeszcze miny. Właśnie byłem świadkiem, jak o jakieś 100 metrów przed moim samochodem wpadł pewien żołnierz niemiecki na minę. Ogromny huk, eksplozja i ciężko ranny Niemiec leży we krwi. Wjeżdżamy powoli i ostrożnie do centrum miasta. To miasto, niegdyś duma wszystkich Niemców — dziś przedstawia tylko zgłiszcza i ruiny.

Oglądamy słynny spalony Reichstag. Katedra Św. Jadwigi trafiona bombą. Idziemy pod Bramę Brandenburską (Brandenburger Thor), robimy tu pamiątkowe zdjęcie. Pomimo zdobycia Berlina Niemcy jeszcze nie kapitulują. Stawiają zaciekły opór, idziemy więc za nimi dalej — za Berlin.

Przyjeżdżamy do miejscowości Dreetz. Tutaj uderza nas makabryczny widok. Na płocie przy drodze cała rodzina niemiecka powiesiła się. Pięcioro ludzi — od ojca począwszy, a skończywszy na kilkuletnim dziecku. Powiesili się z obawy przed nadchodzącymi naszymi wojskami.

Tutaj, w Dreetz, dnia 9 maja nadchodzi do nas radosna wiadomość — Niemcy się poddali, Niemcy skapitulowali, wojna skończona! Radość ogromna w całym wojsku. Wiwatom, okrzykom, strzelaniu z radości nie było końca. Nareszcie skończyła się długa wojna, która trwała 5 lat, 8

miesiący i 8 dni.

Zaraz po zakończeniu wojny odprawiłem pod Berlinem uroczystą, dziękczynną Mszę św. Obecni byli na niej wszyscy — cała dywizja, cały sztab z generalicją na czele. Podczas Mszy św. przygrywała orkiestra dywizyjna,- pod batutą dyrygenta por. Szapiry, wykonując melodie religijne. Na zakończenie wszyscy żołnierze jak jeden mąż zaśpiewali głośno i dobitnie „*Boże, coś Polską*”...

Ojczyznę wolną pobłogosław, Panie”.

Po zakończeniu wojny, tuż pod Berlinem dowódca 1 armii WP gen. Stanisław Popławski udekorował zasłużonych oficerów i żołnierzy wysokimi" odznaczeniami wojskowymi. Dla mnie przeznaczony był Krzyż Zasługi za pracę kapelańską podczas wojny.

Przez okres wojny nie byłem ani razu ranny, mimo że znajdowałem się nieraz pod bombami samolotów, pod ostrzałem artyleryjskim, pod kulami skmu. Chroniła mnie w dziwny sposób Opatrzność Boża, za którą jestem Bogu bardzo wdzięczny. Po skończonej wojnie i 3-tygodniowym odpoczynku dywizja nasza wróciła do Polski.